



Aleksander

5 listopada w wieku 90 lat zmarł profesor Aleksander Skórczyński – wieloletni nauczyciel akademicki Politechniki Warszawskiej, specjalista z zakresu teorii wyrównania, analizy dokładności układów geodezyjnych oraz geodezyjnych pomiarów szczegółowych.

Fragmenty wywiadu przeprowadzonego w styczniu 2015 r. i zamieszczonego w jubileuszowej publikacji „Poczet Profesorów” wydanej przez GEODETĘ z okazji 95-lecia Wydziału Geodezji i Kartografii PW (dostępnej na Geoforum.pl w zakładce Geowiedza)

GEODETA: Jak trafił pan na geodezję?

ALEKSANDER SKÓRCZYŃSKI: Zdałem na inżynierię lądową, ale nie należałem do ZMP, więc organizacja wystawiła mi taką opinię, że na PW w ogóle nie chcieli ze mną gadać. Nie zostałem nawet dopuszczony do egzaminu wstępnego. Ale mój matematyk z liceum, profesor Hornowski, znał profesora Straszewicza z Politechniki, też matematyka, który był szefem komisji egzaminacyjnej w drugim terminie, i dostałem zezwolenie na zdawanie tego egzaminu. ZMP-owcy myśleli oczywiście, że oblegę, a ja zdałem.

Ale jeszcze jedno świństwo chcieli mi zrobić. Poszedłem po wyniki do ich sekretariatu i pytam się tych „towarzyszy”, czy zostałem przyjęty. Powiedzieli, że tak, ogłoszenie wisi w gablocie. Pytam, czy na Wydział Inżynierii Lądowej? – Tam jest wszystko napisane, odpowiedzieli.

A wiadomo, ile w Gmachu Głównym jest korytarzy. No i chodziłem od gablotki do gablotki, ale miałem szczęście, bo już na pierwszym piętrze trafiłem na gablotkę jakiegoś Wydziału Geodezji. Pamiętam jak dziś, z prawej strony na dole była mała kartka: „W drugim terminie egzaminu zostały przyjęte na Wydział Geodezji następujące osoby”. Miałem pozycję siódmą. Od razu pobiegłem do dziekanatu, bo już miałem powołanie do wojska, i wziąłem zaświadczenie, które zwolniło mnie z odbycia trzyletniej służby wojskowej.

Próbowali mi zrobić na złość, a tak naprawdę to nie mogłem lepiej trafić. Ja po prostu lubię liczyć, a na geodezji 40% pracy to przecież rachunki. Prócz tego w geodezji zawsze można było znaleźć zajęcie, przynajmniej do niedawna.

Po studiach zatrudnił się pan w przedsiębiorstwie produkcyjnym.

Wytłumaczyłem to sobie w ten sposób, że jak pójdę do przedsiębiorstwa pracować na akord, z pewnością dobrze na tym wyjdę. W Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym początkowo pracowałem w Wydziale Obliczeń i Pomiarów Specjalnych, gdzie wykonywa-

liśmy wyrównanie polskiej sieci triangulacji zagęszczającej. Płacili tam 1000 czy 1100 zł pensji zasadniczej, a resztę dorbiałem w akordzie. W sumie wychodziło 2700-2800 zł. Mój szef, z którym liczyłem „na drugą rękę” (bo wtedy na kręciołkach albo na półautomatach elektrycznych wszystko liczyło się z kontrolą), zarabiał 3000-3100 zł, czyli tylko 200, 300 złotych więcej ode mnie. On pracował przy obliczeniach parę lat, a ja przyszedłem prosto po studiach, więc byłem zadowolony.

Po kilku latach skierowali mnie do Wydziału Triangulacji. Wykonywałem tam triangulację zagęszczającą – komplet prac: od stabilizacji punktu centralnego i poboczników po pomiar wszelkich dodatkowych elementów, to znaczy mimośrodu poziomego i pionowego. Dalej: wyrównanie stanowiska, sporządzenie wykazu, wypełnienie dzienników. Bo to trzeba było policzyć od razu w terenie. Szybko okazało się, że mam oko do pomiarów. Nie raz kierowali mnie do pomiaru kątów na punktach triangulacji wypełniającej, kiedy innym nie wychodziły kontrole. Nawet w ziemie mierzyłem taki punkt. Potem przenieśli mnie do Wydziału Renowacji

Skórczyński (1930-2020)

Urodził się w 1930 r. we Włocławku. W 1956 r. ukończył studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. W latach 1956-1961 pracował w Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym w Warszawie, a w latach 1961-1962 w Biurze Projektów Budownictwa Wiejskiego. W 1962 r. został zatrudniony na macierzystej uczelni na stanowisku asystenta w Katedrze Rachunku Wyrównawczego, gdzie pracował do 1988 r., kiedy to objął stanowisko kierownika Zakładu Geodezyjnych Pomiarów Szczegółowych w Instytucie Geodezji Gospodarczej. W 1967 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych, w 1979 r. doktora habilitowanego, a w 1991 r. tytuł profesora. Pełnił funkcję prodziekana ds. studenckich (1981-1985 oraz 1990-1996), a także wicedyrektora ds. nauczania w IGG (1987-1991). Od 2005 r. był profesorem Uczelni Warszawskiej im. Marii Skłodowskiej-Curie. Napisał dwa podręczniki z rachunku wyrównawczego oraz osiem skryptów z rachunku i pomiarów szczegółowych. Był członkiem Sekcji Informatyki Geodezyjnej i Kartograficznej PAN oraz członkiem specjalnej grupy studiów Międzynarodowej Asocjacji Geodezji. Został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi (1982), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1993) oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1999), a także był 11 razy wyróżniany przez rektora PW nagrodami indywidualnymi i zespołowymi.

Profesor Aleksander Skórczyński był człowiekiem spełnionym. Z rodzinnego domu wyniósł hierarchię wartości, którą wyznawał przez całe życie. Ojciec, przedwojenny nauczyciel, społecznik trzymający się z daleka najpierw od sanacji, a później od PZPR, był dla niego wzorem przyzwoitości.

Sieci. Na terenach poniemieckich została założona przez Niemców sieć triangulacyjna, ale nie było już wież, a nawet słupów w niektórych punktach. Udało mi się znaleźć jeszcze dwa punkty niemieckiej sieci triangulacji I rzędu, które koledzy szukający przede mną przoczyli! A ja znalazłem, ponieważ umiałem liczyć. Odszukanie takiego punktu generowało wielkie oszczędności. Koszt budowy jednej wieży triangulacyjnej I rzędu (stanowisko jest czasem 25-30 m nad ziemią) był ogromny. Aż sam się dziwiłem, ale znajdowałem też liczne punkty czwartej, trzeciej klasy odpowiadające dokładnością naszej triangulacji zagęszczającej.

Dlaczego zdecydował się pan odejść z przedsiębiorstwa na Politechnikę?

W produkcji właściwie każde zadanie było już dla mnie typowe. To stało się nużące i denerwujące. Ciekawe było jedynie, czy dokładnie praca mi wyjdzie. Ale na tym przejściu sporo straciłem finansowo. Pierwsza pensja na uczelni to było niewiele ponad tysiąc złotych, a w przedsiębiorstwie, jak mi podeszła robota, sprzyjała pogoda i teren był dobry do stabilizacji, to potrafiłem zarobić i 10 ty-

sięcy miesięcznie. Początkowo dorabiałem korepetycjami, ale później nie było na to czasu. Trzeba było przygotować zajęcia, publikować artykuły, no i przecież student powinien mieć podręcznik. Napisałem więc z kolegami Jerzym Gaździckim i Michałem Gałdą dwa skrypty: „Ćwiczenia z obliczeń geodezyjnych i rachunku wyrównawczego” oraz „Metody obliczeń geodezyjnych i rachunek wyrównawczy”. Trzeci skrypt – „Wykłady z rachunku wyrównawczego i obliczeń geodezyjnych” – opracowałem sam. Dwadzieścia dwa lata pracowałem w rachunku, wykładałem, no i coś niecoś zrobiłem.

W latach 70. sporo wykładowców z Politechniki wyjeżdżało za granicę. Nie ciągnęło pana?

Nie. Oprócz tego, że pracowałem na Politechnice, miałem koło Włocławka parę hektarów ziemi, gdzie prowadziłem gospodarstwo. Całe lato miałem zajęte. Jako profesor zwyczajny umiem na przykład postawić stóg. Byłem więc wziętym stożnikiem. Za to dostawałem od sąsiadów do dyspozycji parę koni albo przyjeżdżał facet z siewnikiem i obsiewał mi pole.

ci. Z kolei matka, z wykształcenia pielęgniarka, była dobrą, konsekwentną kobietą, którą podziwiał za rozsądek, jeśli chodzi o wychowanie dzieci. Brat matki, legionista, był związany z Piłsudskim na śmierć i życie. Dopiero wiele lat po II wojnie światowej wyszło na jaw, że wuj działał w kontrwywiadzie na Bliskim Wschodzie. W czasie wojny Aleksander wraz z rodzicami i młodszym bratem Wiesławem wiele razy zmieniał miejsce zamieszkania. Od najmłodszych lat pomagał w utrzymaniu rodziny, która kilka razy zaczynała wszystko od zera. Kiedy Niemcy wywieźli ojca do Rzeszy, a matka z chłopcami zamieszkała na wsi u stryja, pracował tam jako robotnik rolny.

Z uczelni zapamiętałem go jako bardzo rzeczowego wykładowcę o konkretnych wymaganiach. Oczekiwał zrozumienia problemu, a nie wyuczenia się czegoś na pamięć. Również w latach późniejszych, kiedy informatyka zawładnęła obliczeniami, bardzo pilnował, żeby studenci nie ograniczali się tylko do bezmyślnego stukania w klawisze komputera. Widzę go, jak w auli przy wielkiej tablicy z pasją opowiada o pomiarach i wznoszeniu wież triangulacyjnych. Teraz wiem, że nie był profesorem malowanym, bo znał to wszystko z autopsji.

Kochał swoją pracę na uczelni i nie wyobrażał sobie bez niej życia. Pytany przeze mnie o ulubione zajęcie powiedział, że lubi od czasu do czasu coś obliczyć, nawet rozwiązać, wyprowadzić pewne wzory albo w lecie poprowadzić ładnie ogród. Nikomu niczego nie zazdrościł. U przyjaciół najbardziej cenił lojalność, nie cierpiał obłudy i robienia z człowieka głupka.

Katarzyna Pakuła-Kwiecińska
studentka Profesora

A jak się udało panu przejść suchą stopą przez „morze czerwone”?

To nie była sucha stopa. Mówiłem, jakie miałem kłopoty z dostaniem się na uczelnię. A później też nie było łatwo. Na przykład robiłem dwie habilitacje. Pierwsza nie została zatwierdzona. Ktoś pchnął ją do matematyków, a ja przecież nie robiłem habilitacji z matematyki.

Przypadek?

No proszę nie żartować. Nawet wiem, kto za tym stał. Potem po habilitacji dwa lata czekałem na stanowisko docenta. Gdyby nie zmiany związane ze zbliżającym się sierpniem 1980 r., to może bym i tego docenta nie dostał. Na naszym Wydziale prowadzono bardzo dziwną politykę kadrową. Kto tylko dojrzał naukowo, po krótkim czasie musiał go opuścić. Sporo wartościowych osób odeszło.

Kiedy prof. Andrzej Makowski został usunięty ze stanowiska dziekana, pan jako zastępca ustąpił sam...

Jeżeli dziekan, który mnie powołał, został zwolniony, to nie było innego wyjścia. To kwestia niewymagająca dyskusji.

Rozmawiali Katarzyna Pakuła-Kwiecińska
i Zbigniew Leszczewicz